Maciej IŁOWIECKI

STRAŻNICY, ŻEGLARZE I BŁAZNY
Autorytety i media

Szlachetne w intencjach [...] przekonywanie do wybaczania, pojednania, „grubej kreski", mówienie o etyce dialogu, o zasadach demokracji, kulturze politycznej czy o „straszliwych" skutkach lustracji i desowietyzacji, przesłoniło jedną drobną rzecz – mianowicie, że chodzi także o prawdę i sprawiedliwość.

Z pewnością zasadne jest pytanie, dlaczego właśnie d z i ś w Polsce jest tak mało ludzi (można ich policzyć na palcach, i to chyba jednej ręki), do których możemy mieć pełne zaufanie, ich opinie zaś są tak znaczące, że wszyscy powinniśmy się z nimi liczyć albo przynajmniej je uwzględniać.

Dlaczego dziś nie ma w Polsce takich postaci, jak na przykład Maria i Stanisław Ossowscy, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Władysław Tatarkiewicz, Hugo Steinhaus... Wymieniać można by długo, choć ograniczam się do ludzi nauki działających w ludowej Polsce i raczej do tych, których nawet dzisiejszej lewicy trudno byłoby zaliczyć do „prawicowych oszołomów". Ludzie ci działali (i oddziaływali na innych) w czasach, kiedy wieloma sposobami niszczono autorytety prawdziwe i produkowano pozorne, a wielu intelektualistów uzasadniało wyższość najlepszego ustroju na świecie.

Otóż wydaje mi się, że wyjaśnienie tego fenomenu jest jedno. Wszyscy wymienieni i im podobni – ludzie prawi byli wychowywani i kształceni w II Rzeczypospolitej, w społeczeństwie i państwie dalekim od ideału, ale przechowującym z szacunkiem pewne wartości i tradycje. System totalitarny zniszczył te wartości i tradycje, a nowa demokracja nie zdołała ich (jeszcze?) odtworzyć. Większość zatem wielkich autorytetów wyeliminował czas, nowe nie zdołały jeszcze wyrosnąć (nieliczne chwalebne wyjątki potwierdzają tę regułę). Natomiast dzisiejsze polskie społeczeństwo „w transformacji" wytworzy takie autorytety, na jakie je stać – i okaże się to zapewne już niedługo. O jakości tych autorytetów przesądzi to, co przesądziło także kiedyś: uznawane wartości i tradycje oraz – naturalnie – treści, metody i zakres kształcenia. Ale także nowy (u nas) czynnik wchodzący „do gry", który będzie pełnił coraz większą rolę w życiu społecznym – m e d i a. Tak już jest wszędzie na świecie, iż są one (zwłaszcza telewizja) najskuteczniejszym obecnie narzędziem tworzenia (bądź niszczenia!) autorytetów.

ZASADA AUTORYTETU

Zanim przedstawię przesłanki upoważniające do tego wniosku, jeszcze chwila zastanowienia nad autorytetem w ogóle.

Nie trzeba dowodzić, że autorytety (osoby powszechnego zaufania, z których opiniami trzeba się liczyć i warto się liczyć) istniały w każdych czasach i we wszystkich kręgach kulturowych. Widocznie autorytet-drogowskaz jest ludziom bardzo potrzebny. Znów można przyjąć bez dowodu, że bez tych, którzy „wskazują drogę", niemożliwy byłby rozwój społeczny - z jednej strony, i trwałość podstawowych wartości - z drugiej.

Przypominam takie oczywistości dlatego, że zbyt łatwo się o nich zapomina.

Znany z przenikliwości obserwator, Alexis de Tocqueville, stwierdził był ponad sto pięćdziesiąt lat temu: „W świecie intelektualnym i moralnym musi więc istnieć zasada autorytetu. Autorytet może być różnie umiejscowiony, ale jest niezbędny"[1].

Trafne jest zatem określenie autorytetu jako tak zwanego powszechnika kulturowego. Powszechniki, uniwersalia - że przypomnę dla jasności wywodu - to między innymi właśnie wzory uosabiane w danym człowieku. Autorytet więc może przejawiać się bardzo różnie i mieć różne cechy. Zawsze jednak jest potrzebną nam gwarancją trwałości, ładu i tego niezbędnego zasobu pewności, by w ogóle „dało się żyć". W gruncie rzeczy łatwiej wyróżnić cechy, które „same z siebie" nie tworzą jeszcze prawdziwego autorytetu, choć wmówiono nam dość skutecznie, iż właśnie tworzą. Tak więc autorytetu społecznego nie tworzy ani pochodzenie, ani wykształcenie, ani tym bardziej pełnione urzędy czy odgrywane role społeczne. Nie wystarcza dla prawdziwości autorytetu być najlepszym ekspertem w jakiejś dziedzinie lub zręcznym politykiem czy przywódcą jakiejś grupy. Autorytetu automatycznie nie tworzą nawet dokonane odkrycia naukowe i wynalazki ani - o zgrozo! - uzyskane nagrody, łącznie z Nagrodą Nobla. (Nie czynię tu żadnych aluzji do nikogo!)

Naturalnie powyższe nie wyklucza znacznie rzadszego przypadku, kiedy godności, urzędy i świadectwa uznania osiąga się wyłącznie dzięki własnemu, niepodważalnemu autorytetowi i rzeczywistym zasługom.

Co zatem stwarza autorytet, niezależnie od skali jego społecznego oddziaływania? (Mam na myśli autorytety prawdziwe, a nie narzucone.) Otóż po prostu - całe życie człowieka. Szczególnie zaś jego zachowanie w sytuacjach istotnie trudnych, wymagających dzielności i niezależności, w obliczu problemów trudnych do rozstrzygnięcia.

W tym sensie na przykład znakomity fizyk-odkrywca, mający wielki autorytet zawodowy w środowisku naukowym, nie musi być z tego powodu autorytetem moralnym dla wszystkich. Ale może nim być - podobnie jak może nim

[1] A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, t. 1-2, Warszawa 1996.

być szewc, jeśli obaj zapracowali na to swoim życiem. Nie ma bowiem „specjalistów od wartości i ocen", są zaś ludzie, którzy po prostu mają prawo do głoszenia sądów wartościujących.

Są też ludzie, znani z różnych powodów, którzy prawa do ocen moralnych nie mają. Jest to tak oczywiste, że aż wręcz banalne (jak zresztą większość w tym tekście stwierdzeń na temat autorytetów). Sądzę jednak, że właśnie o takich oczywistościach jakoś najchętniej się w Polsce zapomina - bo zapomina się zawsze o tym, co niewygodne lub sprzeczne z czyimś interesem.

STRAŻNICY CZY FUNDAMENTALIŚCI?

Myślę, że w historii ludzkości największe autorytety pełniły role wielorakie. Były to role s t r a ż n i k ó w i ż e g l a r z y - jeśli można użyć takiej przenośni. Strażnicy wartości i tradycji, obrońcy trwałych zasad i prawego stylu życia. I żeglarze - poszukujący nowego, przecierający nowe szlaki, otwierający nowe horyzonty. Może trzeba jeszcze dodać trzecią rolę: ś w i a d k ó w. Takich, którzy świadczą przeciw złu, nie pozwalają zapomnieć, nie godzą się na zacieranie śladów i niesprawiedliwość. A także dzisiaj potrafią stwierdzić, że tak modny w naszych czasach, aż wręcz uznany za swoistą „ideologię wieku", wybór mniejszego zła jest w istocie także wyborem zła.

Przypuszczam, iż szczególnie te trzy przymioty: strażnika, żeglarza i świadka, muszą się złączyć w prawdziwym autorytecie po to, by mógł się stać w z o r e m. Ale to nie wystarcza. Jest bowiem znowu oczywiste, że autorytetom potrzebna jest akceptacja społeczna i tak prosty fakt, że muszą być znane. W czasach dominacji „kultury telewizyjno-prasowej" bycie wzorem społecznym coraz mniej zależy od bycia prawdziwym autorytetem.

Dziś - w Polsce szczególnie - zdarza się zbyt często, że postacie publiczne, kreujące się lub kreowane na autorytety, zapominają o powinnościach strażnika i świadka, tworzą pozór bycia żeglarzem. Gorzej nawet - narzuca się społeczeństwu pogląd, iż „strażnik" (w wyżej określonym znaczeniu) musi być z natury rzeczy dogmatykiem czy fundamentalistą bez serca, fanatykiem, a „świadek" to człowiek odrzucający zasadę tolerancji i pojednania, szukający zemsty, bądź ktoś w rodzaju żałosnego kombatanta nie mogącego wyjść z kręgu swoich wspomnień, które nikogo już nie obchodzą. „Żeglarz" zaś bywa fantastą nie rozumiejącym realiów rzeczywistości ani tak zwanych uwarunkowań wszelkiego rodzaju. (Nb. jeśli Polacy uwierzą w tę „ukrytą perswazję" propagandową, nie sądzę, by mogły się w Polsce ziścić jakieś wielkie idee. Może zresztą idee, czy raczej dążenie do ideałów, nie są już nikomu potrzebne - ani jednostkom, ani zbiorowości?)

Powracając do roli autorytetów, najbardziej skromnie (realnie?) można ją określić i tak: są one niezbędne, by istniała w życiu społecznym spokojna

równowaga i by pewne najogólniesze zasady, normy były w miarę przestrzegane przez obywateli, polityków, przez media, przez instytucje i organizacje. Chodzi o to, by jednak normą było przestrzeganie norm. Nie dostrzegam tego w naszym państwie jako zasady nadrzędnej – i nie jestem osamotniony w tej opinii.

POMYLONE ROLE

W teraźniejszości rolę autorytetów myli się z rolą intelektualistów w ogóle. (Zawsze tak było, odkąd pojawiła się kategoria intelektualistów, czyli od przełomu XIX i XX wieku. W istocie jednak zakres obu tych pojęć pokrywa się tylko częściowo, rola zaś intelektualistów w naszym stuleciu bywała dwuznaczna.) Co więcej, rolę autorytetów zdają się pełnić dziś eksperci, menedżerowie, administratorzy, politycy, a nawet znani aktorzy czy piosenkarze (nic im wszystkim nie ujmując i nie twierdząc, iż w ogóle nie mogą pełnić takiej roli). Cechą najważniejszą jest tu jednak bycie sławną postacią publiczną, czyli cecha zdobyta dzięki mediom. Roli autorytetów społecznych nie wypełnią też postacie wykreowane w tak zwanych salonach opiniotwórczych. (Dziwna skądinąd rzecz z tymi „salonami": pod koniec XX wieku mają podobne znaczenie jak dawniej, ale nikt chyba jeszcze nie podjął badań nad tym zjawiskiem, charakterystycznym zwłaszcza w Polsce.)

Dodałbym jeszcze do „sprawy autorytetów" kilka uwag nie będących naturalnie żadnym odkryciem.

Otóż wydaje się, po pierwsze, iż prawdziwego autorytetu nie może zniszczyć „sam z siebie" fakt zmienności poglądów czy błędów intelektualnych lub nawet moralnych popełnionych w przeszłości. Jednak istnieje pewien warunek sine qua non: owe zmiany poglądów nie mogą być karuzelą zależną od koniunktury („charaktery obrotowe"), a zarazem te przemiany i błędy młodości muszą być wiarygodnie i szczerze wyjaśnione. Oczywiste jest też to, iż istnieje wyraźna granica „jakości błędów" (np. „błędy i wypaczenia" czasów stalinowskich albo bycie donosicielem w czasach późniejszych), wykluczająca pełnienie roli autorytetu. Jaka szkoda, że tak wielu nie chce dostrzec tej granicy, samym zaś „autorytetom" tego rodzaju nie starcza własnej godności, by powstrzymać się od wygłaszania publicznych pouczeń.

Dla mnie zaś największą wartość ma trwałość zasadniczych osądów, wierność zasadom – i trwałość wynikających stąd zachowań. Jeśli wolno podać przykład autorytetu szczególnie przeze mnie cenionego, to właśnie takie cechy dostrzegam w Zbigniewie Herbercie. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie poeta jest dla wielu wyjątkowo niewygodnym świadkiem.

W swoich *Kłopotach z istnieniem* Henryk Elzenberg pisze: „Najbezpieczniej jest rzecz prosta, gdy autorytet sam jest w sądach niezmienny. Ale

autorytet może być zmienny, a my jednak możemy iść za nim i czuć się spokojni ufając, że owe zmiany mają swoje racje"[2]. Filozof zwraca uwagę na rzecz istotną: z autorytetem musi wiązać się poczucie bezpieczeństwa. Powinien on być gwarancją trwałości, ładu i pewności.

Uwaga druga, uzupełniająca: nie powinno się zapominać, że bywają autorytety nie tylko osobowe. Dla publicznego zdrowia jest konieczne, by pewne instytucje cieszyły się autorytetem prawdziwym: na przykład Kościół, parlament, stowarzyszenia twórcze czy samorządowe, instytucje naukowe i uczelnie (np. Polska Akademia Nauk ma dziś mniejszy autorytet społeczny, niż miała w XIX wieku, a także później Polska Akademia Umiejętności). Autorytetem prawdziwym powinien być urząd prezydenta RP i wreszcie przynajmniej niektóre media.

Każdy uczestnik czy świadomy obserwator życia w Polsce może sam ocenić autorytet instytucji, stowarzyszeń, mediów i nawet określić kierunek przemian w ostatnim czasie. Mam wrażenie, iż większość dobrze wie, kto i co traci dziś autorytet i dlaczego.

Wreszcie uwaga trzecia, dla socjologów już zupełnie banalna: czym innym jest autorytet prawdziwy, a czym innym autorytet postrzegany jako prawdziwy. Najlepiej, gdy są to kategorie tożsame, gdy pokrywają się, ale tak się zdarza coraz rzadziej. Być może postulat ten spełnia się w Polsce najdoskonalej w osobie Jana Pawła II. Ale nie brak przecież coraz częstszych prób podważania i tego autorytetu.

Największą rolę (i obowiązek) w utrwalaniu takiego stanu rzeczy, by autorytety prawdziwe i tylko one były jednocześnie postrzegane jako takie – mają dziś media. W rzeczywistości jest tak, że media i politycy dbają u nas o to, by jako autorytety postrzegane były postacie kreowane przez grupy interesów. Można więc stwierdzić dziwną sytuację: istnieją prawdziwe autorytety bez powszechnego uznania społecznego (bo są nieznane lub ośmieszane i dezawuowane) i autorytety pozorne, wykreowane przez środki przekazu i mające zatem społeczne uznanie. A może nie jest to sytuacja dziwna: podobnie bywa w wielu krajach, bo stoją za tym oczywiste interesy polityczne i po prostu pieniądze (z powodu pieniędzy tak chętnie tworzy się społeczne autorytety-wzory z tak zwanych idoli młodzieżowych).

AUTORYTET – CZYLI POPRAWNOŚĆ

Upadek autorytetów prawdziwych jest zatem cechą współczesności i znakiem pewnego kryzysu moralnego. Jest cechą czasu, w którym dominuje rela-

---

[2] H. Elzenberg, *Kłopoty z istnieniem*, Kraków 1994.

tywizm norm moralnych, zacieranie granic pomiędzy dobrem i złem, prawdą i fałszem, prawością i nieuczciwością itd. Swoistą ideologią stała się (choć dostrzegamy sygnały odwrotu) tak zwana poprawność (correctness) – nie tylko polityczna – doprowadzona do absurdu, którego nie chce się dostrzegać.

Z drugiej strony ów upadek czy kryzys wiąże się także z niedawną postawą wielu euroamerykańskich intelektualistów wobec totalitaryzmu sowieckiego. A nawet czynnym i moralnym wsparciem dawanym przez niektórych intelektualistów bezpośrednio systemom terroru, uczestnictwem w tym terrorze – w III Rzeszy, w ZSRR, potem w krajach wasalnych. O tym niby się mówi, ale tak naprawdę nie mówi się: wmówiono nam bowiem, że „nie wypada". W Polsce zresztą próby analizy czy choćby przypomnienia spotykają się z godnym podziwu w swej konsekwencji i powszechności atakiem na osobę przypominającego. Jest to wszystko przejawem tej samej błędnej koncepcji rzeczywistości – jeśli nie jest przejawem po prostu walki o interesy. Chyba dopiero następne pokolenie będzie w stanie sprawiedliwie wyważyć zarówno zbrodniczą głupotę, jak i niewiarygodny oportunizm niektórych intelektualistów po drugiej wojnie światowej, a także późniejsze – znów niektórych, a nawet wielu – zasługi w walce z systemem. Ale to już inna historia.

DROBNA RZECZ – PRAWDA

W Polsce wystąpiło jeszcze jedno zjawisko prowadzące do upadku autorytetów. Oto przy formalnej, całkowitej zmianie ustroju politycznego i systemu gospodarczego w rzeczywistości przełom ostateczny nie nastąpił i dalej nie następuje czy następuje zbyt powoli, zbyt niekonsekwentnie, a czasem tylko pozornie. Nie było więc takiej zmiany prawa, jakiej oczekiwaliśmy, nie było i nie ma rzetelnej oceny przeszłości. Nie było też desowietyzacji w najszerszym tego słowa pojęciu. Nie dokonała się „dekomunizacja moralna", natomiast doprowadzono do zaawansowanej amnezji historycznej (zwłaszcza wśród młodzieży). Za takim stanem rzeczy stał interes polityczny i finansowy pewnych wciąż silnych grup, zakorzenionych w przeszłości, wsparty przez czołówkę dawnej opozycji i większość właśnie autorytetów i elit opiniotwórczych.

Dlaczego tak się stało – to temat odrębny, znów bardzo „nie na czasie".

W każdym razie szlachetne w intencjach (przynajmniej u niektórych) przekonywanie do wybaczania, pojednania, „grubej kreski", mówienie o etyce dialogu, o zasadach demokracji, kulturze politycznej czy o „straszliwych" skutkach lustracji i desowietyzacji, przesłoniło jedną drobną rzecz – mianowicie, że chodzi także o prawdę i sprawiedliwość. Cóż, zaczęto podawać w wątpliwość nawet samo istnienie prawdy – i dziś wielu uważa, iż każdy ma swoją własną prawdę, zależną zawsze od okoliczności i punktu widzenia. Za-

częto niszczyć i odsuwać tych nielicznych, którzy mówili: tego i tego się nie robi, a moralny osąd musi być zawsze dokonywany. Kto tak głosi, jest przecież u nas uznany co najmniej za nietolerancyjnego.

Wielu ludzi ma prawo zapytać: co się dziś stało z godnością, honorem, prawością, sprawiedliwością, patriotyzmem? (Nb. ten ostatni termin ma już nawet w wielu miejscach „konotację ujemną".) I dlaczego ci, którzy mieli obowiązek ich bronić, nie spełnili tego obowiązku?

Zadziwiające zresztą, jak wiele osób roztrwoniło swój autorytet, zdobyty kiedyś przenikliwością intelektu i niewątpliwymi zasługami w walce z totalitaryzmem. Co się stało, że niektórzy ludzie o historycznych zasługach, odważnym i godnym kiedyś zachowaniu – dziś zachowują się tak, jakby owa godność przestała mieć znaczenie? Czy może istotnie godne zachowanie i coś, co było kiedyś nazywane „kwestią smaku", przestaje mieć dziś znaczenie? A może to oni sami uznali, że owe zasługi dają im prawo do tworzenia nowych kryteriów godności i smaku?

Co się stało, że pewne postacie polskiej emigracji tracą właśnie teraz rozeznanie, co się dzieje w kraju, bądź dezawuują sens własnej działalności, która zapisała je w polskiej historii?

Okazuje się, iż największą przenikliwość okazali „rechocący cynicy". (Określenie Czesława Miłosza, użyte wprawdzie w nieco innym kontekście, ale jakże pasuje do osób, którym z całych sił zwalczana przez nie wolność i demokracja przyniosła największe korzyści).

JAKI JEST KOŃ?

Tak czy inaczej, efekty są znane i „koń jaki jest, każdy widzi". Niezależnie bowiem od przyczyn, istotnie trudno byłoby obalić tezę, iż w polskim życiu publicznym dominuje dziś bylejakość i mierność (moralna i profesjonalna); że interes grup i partii przeważa nad interesem państwa; że wreszcie wszystko wydaje się jakieś jałowe i żałosne, a instytucje i prawo nieskuteczne. Źle się dzieje ze świadomością społeczną – wracają cechy „homo sovieticus": agresywność, niesolidność, lekceważenie własności (cudzej i wspólnej), działanie na zasadzie „załatwiania", anomia itd.

Wystąpił kryzys postaw obywatelskich i powszechna amnezja historyczna (zwłaszcza wśród młodzieży).

Nie twierdzę, że nie ma oaz prawości albo że nie istnieją ludzie godni najwyższego szacunku. Stwierdzam tylko pewne tendencje i skutki ogólne. Nie obarczam też winą w y ł ą c z n i e naszych elit intelektualnych i politycznych, ale też nie zgadzam się z tezą, iż tak musiało być, że są to koszty transformacji. Mogło być inaczej i powinno być inaczej, a autorytety zawiodły.

FABRYKA BŁAZNÓW

Pora wreszcie na kilka uwag w sprawie mediów i dziennikarzy, ponieważ ich udział w niszczeniu autorytetów prawdziwych i produkowaniu pozornych wcale nie jest błahy. Przeciwnie nawet: media są w tej mierze najbardziej skutecznym narzędziem. Przy tym skuteczność ta wynika z charakteru samego narzędzia i ze świadomego działania ludzi, którzy się nim posługują. A także ze szczególnej sytuacji najmłodszego środka przekazu, jakim jest telewizja. Telewizja bowiem stała się głównym źródłem wiedzy o rzeczywistości i zarazem konstruktorem tej rzeczywistości (czyli twórcą rzeczywistości). Jak już dawno powiedział Walter Lippman, „Media rzeźbią obrazy w naszych umysłach". Dziś jest pewne, że w ogóle rzeźbią nasze umysły.

W Polsce około 70% ludzi całą wiedzę o rzeczywistości czerpie wyłącznie z telewizji, ale prawie połowa z nich w ogóle nie rozumie (czy jeszcze gorzej – błędnie pojmuje, sądząc, że pojmuje) tego, co usiłuje im przekazać telewizja. Właściwie fakt ten wystarcza za wszystko...

Kreacja telerzeczywistości (w pewnym stopniu w ogóle rzeczywistości medialnej) zasadza się przede wszystkim, choć nie tylko, na tak zwanym porządku dziennym (z angielskiego: agenda-setting, termin z literatury przedmiotu). Tak określa się selekcję i dobór tematów i informacji, ich szczególne akcentowanie czy nawet tylko powtarzanie. Narzuca to pewien sposób ujmowania rzeczywistości – jako nieustannego widowiska, spoglądanie na nią przez pryzmat sensacji, konfliktów, przemocy, katastrof i nieszczęść. Przede wszystkim jednak narzuca to pewną hierarchię ważności i zmienia kryteria prawdy. To jest właśnie istota telerzeczywistości: z punktu widzenia telewidzów prawdziwe i ważne staje się to, co wiarygodnie dla nich przedstawia telewizja (wobec prasy i radia odnosimy się z większym krytycyzmem).

Im bardziej telewizja eksploatuje jakiś temat, tym bardziej telewidzowie uznają go za ważny. To samo dotyczy osób występujących na ekranie telewizyjnym czy wypowiadających się w innych środkach przekazu: im częściej ktoś jest przywoływany przez media, tym łatwiej jest postrzegany jako autorytet. Występuje tu znane od dawna mylenie funkcji publicznych czy popularności z innych powodów – z „byciem autorytetem społecznym" i wzorem dla innych. Wystarczy zniknięcie z mediów, by zarówno autorytety pozorne, jak i prawdziwe (niestety!) zniknęły z pola uwagi.

Telewizja jest najlepszym z wymyślonych dotąd systemów organizowania uwagi publicznej wokół pewnych wydarzeń i osób oraz najlepszym systemem ukierunkowania myślenia na jakiś temat – oczywiście we wspomnianych kategoriach sukcesu, władzy, sensacji, konfliktu itd. Wypiera to najczęściej myślenie w kategoriach wartości i sensowności.

Poprzez dobór i akcentowanie niektórych tematów i sposób zachowania się dziennikarzy i osób występujących w telewizji wytwarza się u odbiorców

przekazu przekonanie, iż normy kulturowe i moralne są dowolne i tworzą je „osoby telewizyjne", które należy naśladować. Na przykład agresywne zachowania polityków i dziennikarzy narzucają przekonanie o normalności agresji; ciągłe mijanie się z prawdą, niepełność i niepewność informacji oraz gmatwanie rzeczy, które mogłyby być proste, stwarza wrażenie, iż tak właśnie powinno być, taka jest norma.

AUTORYTETY DYŻURNE

Po „przywództwo opinii" sięgają zatem ludzie wylansowani przez media – „błazny". Zarazem to dziennikarze (lub ich zwierzchnicy) decydują o tym, kto ma wygłaszać opinię na dany temat. W ten sposób konstruuje się zespół „autorytetów dyżurnych", a niektórzy wypowiadają się wszędzie i zawsze, niezależnie od tematu, stając się swego rodzaju ekspertami od opinii. Bardzo trudno wyjaśnić ludziom, iż ekspert od opinii nie ma nic wspólnego z rzeczywistym autorytetem. W każdym razie sytuacja jest dość paradoksalna: dziennikarze (zwłaszcza masowych gazet i telewizji) mają pozycję miarodajnego gremium, decydującego o tym, kto powinien być autorytetem, a kto nie powinien nim być.

Podobnie jest z autorytetem wartości, instytucji, tradycji. Wszystko można podważyć, ośmieszyć, zniszczyć bądź właśnie wylansować – taką możliwość mają media i oczywiście w różny sposób z tej możliwości korzystają. Czy istnieje lekarstwo przeciw nadużywaniu tej możliwości? Tak. Jest nim wysoki poziom etyczny i profesjonalny dziennikarzy i możliwie najmniejsze uzależnienie mediów od władzy i grup interesów.

Niektórzy sądzą, że są to rzeczy w dzisiejszym świecie nieosiągalne. Przychylam się do zdania tych, którzy twierdzą, iż można je osiągnąć, przynajmniej w pewnym stopniu. Wskazanie warunków, które w tym celu muszą być spełnione, nie należy jednak do tematu tego artykułu.

Odpowiednie badania potwierdzają, że telewidz jest w stanie ocenić osobę występującą w telewizji (jako polityk czy jako autorytet opiniotwórczy) najczęściej tylko w kategoriach osobowościowych (np. miły, okropny, obłudny, godny zaufania, nawet mądry czy głupi), najmniej zaś może powiedzieć o poglądach czy racjach tej osoby. (Znacznie lepiej jest z oceną wypowiedzi w prasie czy radiu. Mówimy naturalnie o pewnej średniej.)

Telewidz ocenia więc przede wszystkim sposób prezentacji – f o r m ę, bardzo rzadko potrafi ocenić, a nawet w ogóle zrozumieć t r e ś ć przekazu. Człowiek, który ma coś do powiedzenia, ale nie jest osobowością telewizyjną, ma zatem z natury rzeczy mniejsze szanse wpływu na opinię publiczną. Nie ma szans także ten, kogo chce się świadomie „załatwić". Jest to cała odrębna wiedza (o metodach „załatwiania"), dobrze znana dziennikarzom, operato-

rom, reżyserom, twórcom programów. Na przykład zwróćmy uwagę, że przekazanie drobnym sygnałem zdenerwowania, eksponowanie jakiejś brzydszej cechy wyglądu, sposób filmowania, oświetlenia, a także przekazanie w tle odpowiednich reakcji osób obecnych w studio (np. ich znaczących min czy znudzenia), nie mówiąc już o metodach manipulowania samą wypowiedzią czy odpowiednim prowadzeniem rozmowy – to wszystko wpływa na ocenę postaci. Telewidz przy tym żywi przekonanie, że sam ocenia występującego, że ogląda zdarzenia i osoby własnymi oczami, a pośrednictwo telewizji nic tu nie zmienia.

Kolejny paradoks rzeczywistości telewizyjnej: oto dobrze przekazywana i przestrzegająca pewnych reguł public relations (nie ma dobrego polskiego terminu) postać może właściwie mówić głupstwa albo nieprawdę i zauważy to tylko nikła mniejszość odbiorców. Chyba iż rzetelny dziennikarz potrafi pytaniami zwrócić uwagę na rzeczywistą treść wypowiedzi.

Jeszcze jedna uwaga. Otóż media (znowu przede wszystkim telewizja) kreują nie tylko polityków i autorytety, ale ekspertów w ogóle. Wystarczy tylko do wszelkich dyskusji zapraszać stale te same osoby i do nich głównie zwracać się po opinie. Jest to zabieg stosowany nader często z powodów politycznych („słuszny ekspert" – nasz człowiek) albo po prostu dlatego, że dany ekspert nieźle mówi, chętnie zabiera głos i ma zawsze czas dla telewizji. W ten sposób ustalają się także pewne hierarchie ekspertów naukowych, artystycznych, dziennikarskich – poza fachowymi środowiskami i niezależnie od rzeczywistej hierarchii w zawodzie.

Nawiasem mówiąc, wielu dziennikarzy (nadawców, redaktorów naczelnych) nie zdaje sobie sprawy, że pewne problemy, które mogą być omawiane przez ekspertów, rozszyfrowywane i wyjaśniane, nie zawsze mogą podlegać ich ocenom moralnym, wartościującym. Na przykład aborcja czy eutanazja: młody lekarz czy bioetyk nie może wypowiadać się jako autorytet moralny, ponieważ zdobył autorytet tylko z tej racji, że doskonale zna się na rzeczy. Jeśli jest zapraszany do wypowiadania ocen moralnych, niechże występuje jako jednostka, która ma do tego prawo. Mylenie roli eksperta z rolą autorytetu społecznego stało się nagminnym błędem dziennikarstwa.

*

Łatwo w tym wszystkim zauważyć nierozerwalny splot czynników obiektywnych i subiektywnych, gmatwaninę relacji pomiędzy mediami i ich odbiorcami i zarazem niesłychanie istotną rolę mediów i dziennikarzy w kreowaniu lub niszczeniu autorytetów, a zatem wpływaniu na powszechną świadomość społeczną.

Popatrzmy, jakie dziś są nasze szkoły, nasze media i nasze autorytety. Zobaczymy wtedy, jaki rodzaj ludzi będzie jutro decydował o naszym życiu.